
KIEDY NORMALNE SUMIENIE ŚPI

Ceną wolności jest nieustanne czuwanie.

THOMAS JEFFERSON

Sumienie nadaje życiu sens. Jako świadomość pewnych ograniczeń zakorzeniona w naszych więziach uczuciowych z innymi ludźmi zapobiega sprowadzeniu życia do długiej i w gruncie rzeczy nudnej gry polegającej na próbach zdominowania naszych bliźnich. Każde narzucone przez nie ograniczenie umożliwia człowiekowi nawiązanie więzi z kimś lub czymś innym, buduje most prowadzący do kogoś lub czegoś znajdującego się poza naszymi intrygami, często pozbawionymi znaczenia. Jeżeli weźmiemy pod uwagę bezduszną alternatywę – podobieństwo do Skipa – sumienie staje się czymś, czego należałoby bardzo pragnąć. Nasuwa się więc pytanie: czy u 96 procent osób niebędących socjopatami sumienie się zmienia? Czy kiedykolwiek się waha, słabnie lub obumiera?

Nawet u przeciętnego człowieka sumienie nie zawsze działa z jednakową intensywnością. Jedną z najprostszych przyczyn tej zmienności jest fakt, że zamieszkuje ono niedoskonałe, targane popędami ludzkie ciało. Kiedy doskwiera nam przemęczenie, gdy jesteśmy chorzy lub ranni, wszystkie funkcje emocjonalne, w tym sumienie, mogą ulec tymczasowemu upośledzeniu.

Aby zilustrować tę kwestię, załóżmy, że Joe – adwokat i właściciel psa Reeboka – jedzie do pracy z wysoką gorączką sięgającą 39 stopni. Najwyraźniej zdrowy rozsądek mężczyzny nie funkcjonuje jak należy, ponieważ mimo choroby usiłuje on dotrzeć na spotkanie. A co z jego zmysłem moralnym? Bezlitosny wirus atakuje organizm prawnika, gdy ten nagle uświadamia sobie, że zostawił ukochanego psa bez jedzenia. Co wtedy zrobi? W tej wersji historii Joemu prawdopodobnie ledwo wystarczy sił na realizację przygotowanego wcześniej planu. Nie będzie mógł szybko myśleć, decydować, co jest ważniejsze – praca czy pies, ani zmienić raz podjętej decyzji, tak jak to robi zdrowy Joe. Jest rozpalony, ma mdłości, a teraz emocjonalna reakcja na niedolę Reeboka bezpośrednio konkuruje z jego własnym trudnym położeniem. Zapewne sumienie mimo wszystko zwycięży. Z drugiej strony niewykluczone, że osłabiony chorobą mężczyzna nie postąpi całkowicie zgodnie z własnymi przekonaniem. Idąc drogą najmniejszego oporu, pewnie pojedzie dalej i spróbuje jakoś przetrwać zaplanowany dzień, a Reebok, chociaż niezupełnie zapomniany, zostanie na jakiś czas zepchnięty na emocjonalny dalszy plan.

Niechętnie dopuszczamy do siebie tę myśl, ale warto się przyjrzeć tej jakże ciekawej, a zarazem bardzo prawdziwej zależności: na nasze szlachetne sumienie, element scalający i nadający sens życiu, niekiedy bardzo istotny wpływ wywierają czynniki tak zupełnie niezwiązane z pojęciem

dobra i zła, tak dalece niekojarzące się z naszą moralną wrażliwością jak grypa, zarwana noc, wypadek samochodowy lub ból zęba. Normalne sumienie nigdy nie zanika, lecz kiedy ciało słabnie, sumienie może popaść w senność i zamroczenie.

Słabość ciała to jedna z dwóch okoliczności – druga to przerażenie – które w naszym mniemaniu wynoszą działające bez przerwy, czujne sumienie na wyżyny heroizmu. Jeżeli ktoś jest poważnie chory, ranny lub przestraszony, a mimo to pozostaje wierny swoim emocjonalnym zobowiązaniom, uważamy go za odważnego. Klasycznym przykładem jest żołnierz na froncie, który mimo odniesionych obrażeń ratuje towarzysza broni spod ostrzału. Uznajemy takie czyny za odważne, co stanowi milczące potwierdzenie, że dotkliwy ból i strach zazwyczaj zagłuszają głos sumienia. I gdyby mimo bardzo wysokiej gorączki Joe nadłożył drogi po to, by zająć się Reebokiem, moglibyśmy uznać jego zachowanie za drobny przejaw bohaterstwa. Zareagowalibyśmy czymś więcej niż tylko sentymentalnym uśmiechem. Zapewne chcielibyśmy nawet przyjaźnie uściskać prawnika.

Co dziwne, nasz organizm wpływa na sumienie także za pośrednictwem hormonów. Omawiając w skrócie tę postać upośledzenia sumienia, odwołam się do danych liczbowych Krajowego Biura Informacji Adopcyjnej, zgodnie z którymi 15–18 procent dzieci urodzonych ostatnio w USA uznaje się za „niechciane przez matkę” w chwili poczęcia. Można przyjąć, że niektóre ciążę były skutkiem niewiedzy lub wypadków, lecz z całą pewnością setki tysięcy nowo narodzonych Amerykanów wiedzie potem niepewne życie niechcianych dzieci tylko dlatego, że popęd przyćmił na kilka minut sumienie ich rodziców. Mówiąc o presji seksualności, przyznajemy, że zmaganie się z biologiczną stroną naszej natury bywa bardzo trudne i dlatego w tym kontekście nadajemy przykładom sprawnie funkcjonującego sumienia wzniosłą rangę „cnoty”. W myśl tej definicji często jesteśmy bardziej „cnotliwi” jako czterdziestolatkowie, niż wówczas, gdy mieliśmy dwadzieścia lat. Tę „cnotę” osiąga się po prostu wraz z wiekiem.

Istnieją również inne biologiczne czynniki zakłócające funkcjonowanie sumienia. Należą do nich różnorakie zaburzenia umysłowe, zwłaszcza z grupy schizofrenii, niekiedy nakazujące chorym postępować na podstawie psychotycznych urojeń. Tłumaczenie osób, których mózg został tak upośledzony – „jakieś głosy kazały mi to zrobić” – wcale nie jest żartem, lecz straszliwą rzeczywistością. Nękana omamami osoba, której psychoza na przemian nasila się i słabnie, zapewne jednak kiedyś „przebudzi się” z obłądzenia i odkryje, że działała pod wpływem urojeń wbrew własnemu sumieniu i woli.

Na szczęście istnieje dość ograniczona liczba źródeł presji wywieranej przez nasze ciało na sumienie. Pomijając pole walki, sytuacje, kiedy musimy podejmować istotne moralne decyzje po odniesieniu poważnych obrażeń, nie przytrafiają się nam codziennie ani nawet co roku. Większość z nas równie nieczęsto przeżywa seksualne zauroczenie. Przypadki niekontrolowanej schizofrenii paranoidalnej spotyka się dość rzadko. Dlatego nawet rozpatrywane łącznie biologiczne ograniczenia naszego zmysłu moralnego wyjaśniają niewielki odsetek przypadków niezrozumiałego złego zachowania, o których o każdej porze dnia donosi prasa i telewizja. Schizofrenicy raczej nie organizują się w grupy terrorystyczne. Pod wpływem bólu zębów nie popełnia się zbrodni nienawiści. Uprawianie seksu bez zabezpieczeń nie prowadzi do wybuchu wojen.

W takim razie co do nich prowadzi?

WYKLUCZENIE MORALNE

Co roku 4 lipca mieszkańcy małego nadmorskiego miasteczka w Nowej Anglii, w którym

mieszkałam, rozpalają na plaży wysokie na trzy piętra ognisko. Połączone gwoździami palety z suchego drewna umiejętnie ustawia się jedna na drugiej. Powstała w ten sposób wieża dominuje nad naszym uroczym krajobrazem przez kilka dni przed wyznaczoną datą. Odpowiednio dobrana liczba desek i prześwitów w konstrukcji zapewniających przepływ powietrza gwarantuje szybkie rozniecenie ognia. Wieżę podpala się po zapadnięciu zmroku w obecności ochotniczej straży pożarnej, której drużyna na wszelki wypadek stoi obok z sikawkami gotowymi do użycia. Panuje uroczysta atmosfera. Zespół wykonuje patriotyczne pieśni. Serwuje się hot dogi, chłodzone napoje Slurpee, a na koniec odbywa się pokaz fajerwerków. Kiedy ognisko się wypali, dzieci wracają na plażę, gdzie strażacy usłużnie oblewają je wodą.

Tę tradycję kultywuje się w miasteczku od sześćdziesięciu lat, ale ponieważ nie przepadam za wielkimi ogniskami, uczestniczyłam w tej uroczystości tylko raz, w 2002 roku, za namową przyjaciół. Zdumiała mnie liczba ludzi, którzy w jakiś sposób pomieścili się na naszym małym skrawku atlantyckiego wybrzeża. Niektórzy przyjechali z miejscowości oddalonych o osiemdziesiąt, a nawet więcej kilometrów. Przepychałam się przez tłum, chcąc znaleźć miejsce na tyle blisko, żeby zobaczyć ognisko, lecz jednocześnie na tyle daleko, by nie przypalić sobie brwi (przynajmniej tak mi się wydawało). Ostrzeżono mnie, że kiedy ognisko zapłonie, zrobi się znacznie goręcej, niż potrafię sobie to wyobrazić, chociaż temperatura powietrza przekraczała już 32 stopnie. W blasku zachodzącego słońca rozległy się pokrzykiwania, gwizdy i nawoływania, żeby podpalić wieżę, i gdy w końcu rozniecono ogień, wszyscy jak na komendę zamilkli. Płomienie natychmiast zaczęły pochłaniać drewnianą konstrukcję niczym nieokiełznany żywioł, od piaskowego podłoża ku nocnemu niebu, które nagle rozbłysło przerażającym blaskiem. Wtedy nadeszło uderzenie gorąca. Poczuliśmy, jak napiera na nas fala nieznośnego, przerażającego, rozgrzanego do czerwoności powietrza o konsystencji przypominającej ciało stałe. Zaskoczony tłum odsuwał się od płonącej wieży. Za każdym razem, gdy sądziłam, że jestem już wystarczająco daleko, musiałam się odsunąć o kolejne pięćdziesiąt metrów, a potem jeszcze dalej i dalej. Twarz mi płonęła. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ognisko, nawet wysokie na trzy piętra, potrafi wytworzyć aż tyle ciepła.

Gdy tylko ludzie wycofali się na bezpieczną odległość, wróciło poczucie radosnej fascynacji, a gdy płomienie strawiły wierzchołek wieży, tłum zaczął wiwatować. Ozdobę na szczycie wykonano tak, by przypominała mały domek. Teraz szalało w nim miniaturowe piekło. Ten widok, nieokreślone poczucie zagrożenia oraz gorąco dziwnie mnie poruszyły. Nie bardzo mogłam dzielić z innymi świątecznego nastroju. Zamiast tego nieco przewrotnie pomyślałam o paleniu czarownic na stosach w XVI i XVII wieku, czego nigdy nie potrafiłam pojąć. Chociaż było mi gorąco, zadrżałam. Czytać o stosie na tyle dużym, by spalić na nim istotę ludzką, to jedno, lecz stać naprzeciwko podobnej konstrukcji wśród podekscytowanego, pohukującego tłumu to zupełnie coś innego. Nie mogłam zapomnieć o ponurych historycznych skojarzeniach, które nie pozwalały mi się cieszyć podniosłą chwilą.

Zastanawiałam się, jak doszło do palenia czarownic na stosach. Jak to możliwe, że kiedyś takie koszarne widowiska były rzeczywistością? W typowym dla psychologa odruchu rozejrzałam się po zgromadzonych. Z pewnością nie otaczali mnie oszołomieni uchodźcy baskijscy z 1610 roku gorączkowo szukający wyznawców szatana, których mogliby spalić. Znajdowałam się w środku tłumu obywateli nowego milenium, ceniących pokój, dalekich od hysterii, nienaznaczonych ubóstwem ani groźnymi zabobonami. Nie wyczuwałam żądzy krwi ani zniewolenia sumień. Śmiałyśmy się w poczuciu sąsiedzkiej bliskości. Jedliśmy hot dogi, popijaliśmy slurpee i świętowaliśmy Dzień Niepodległości. Nie byliśmy bezduszną, amoralną tłuszcą i w żadnym wypadku nie zgromadziliśmy się po to, by oglądać morderstwo, nie wspominając o torturach.

Gdyby nagle w wyniku jakiegoś dziwnego zakrzywienia czasoprzestrzeni wśród olbrzymich płomieni zaczęła się widać ludzka postać, zaledwie garstka stojących wśród nas anonimowych socjopatów przyglądałaby się temu beznamietnie, a może nawet miałaby niezłą rozrywkę. A reszta? Kilku sparaliżowanych niedowierzaniem pocziwców gapiłoby się, garstka szczególnie odważnych usiłowałaby interweniować, a ogarnięta zrozumiałym przerażeniem większość uciekłaby. Wcześniej radosne ognisko zmieniłoby się w traumatyczną wizję, która wryłaby się nam w pamięć do końca życia.

Lecz co by było, gdyby na stosie płonął Osama bin Laden? Jak zareagowałby amerykański tłum w 2002 roku, gdyby nagle miał uczestniczyć w publicznej egzekucji osoby uznanej za najniebezpieczniejszego zbrodnię na świecie? Czy ci zazwyczaj postępujący zgodnie z sumieniem, uczęszczający do kościoła, unikający przemocy ludzie staliby z boku i pozwoliliby na to? Czy dałoby się wyczuć entuzjazm, albo przynajmniej przyzwolenie, zamiast mdłości i przerażenia na widok konającej w mękach istoty ludzkiej?

Otoczona tłumem dobrych ludzi nagle doznałam olśnienia: moglibyśmy wcale nie uznać tego widoku za przerażający po prostu dlatego, że nie uważamy Osamy bin Ladena za człowieka. Osama, by zapożyczyć określenie z *Roots of Evil* (Korzeni zła) Ervina Stauba¹, został całkowicie „wykluczony z naszego moralnego wszechświata”. W jego przypadku nasze sumienie już nie interweniuje. Nie jest człowiekiem. Jest *przedmiotem*. Niestety ta transformacja człowieka w przedmiot czyni go tym bardziej przerażającym.

Wydaje się, że niektórzy ludzie, na przykład terroryści, zasługują na wykluczenie moralne. Innymi przykładami *przedmiotów* są zbrodniarze wojenni, porywacze dzieci i seryjni mordercy. We wszystkich tych przypadkach potrafimy przedstawić (i przedstawiamy) słuszne lub nie, lecz przemyślane argumenty usprawiedliwiające odmawianie im prawa do współczucia. Lecz przeważnie nasza gotowość do redukcji ludzi do nieistot nie jest ani przemyślana, ani świadoma. Na przestrzeni dziejów nasza skłonność do odczłowieczania zbyt często dotykała w gruncie rzeczy niewinnych osób. Lista wykluczonych grup, przez niektórych zdegradowanych do statusu podludzi, na takim czy innym etapie historii, jest bardzo długa. Jak na ironię obejmuje ona kategorie, do których można by zaliczyć prawie wszystkich spośród nas: czarnych, komunistów, kapitalistów, gejów, rdzennych Amerykanów, Żydów, obcokrajowców, „czarownice”, kobiety, muzułmanów, chrześcijan, Palestyńczyków, Izraelczyków, biednych, bogatych, Irlandczyków, Anglików, Amerykanów, Syngalezów, Tamilów, Albańczyków, Chorwatów, Serbów, Hutu, Tutsi i Irakijczyków, by wymienić tylko kilka grup.

A kiedy już w grupie innych pojawiły się *przedmioty*, wolno nam zrobić z nimi wszystko, zwłaszcza jeżeli osoba mająca władzę lub wpływy wyda stosowny rozkaz. Sumienie przestaje być potrzebne, ponieważ ono wiąże nas z innymi istotami, a nie z *przedmiotami*. Ono nadal istnieje, niewykluczone nawet, że wiele od nas wymaga, ale zwraca się wyłącznie ku naszym rodakom, naszym przyjaciołom i naszym – ale już nie waszym – dzieciom. Jesteście wykluczeni z naszego moralnego wszechświata, dlatego teraz możemy bezkarnie, a może nawet przy aprobacie innych członków naszej grupy wyrzucić was z domu, wystrzelać waszą rodzinę lub spalić was żywcem.

Dodam tylko, że podczas obchodów Dnia Niepodległości w 2002 roku nie stało się nic złego. Z tego, co wiem, makabryczne myśli prześladowały tylko mnie. Płomienie strawiły wyłącznie drewno. Ognisko było widowiskowe, a potem zgodnie z planem się wypaliło. Roześmiane dzieci, bezpieczne w swoim rodzinnym miasteczku, dokazywały na plaży, polewane wodą przez strażaków. Byłoby dobrze, gdyby wszystkie zgromadzenia zawsze przebiegały równie spokojnie.

NOWE SZATY CESARZA

Kiedy sumienie pogrąża się w głębokim transie, gdy trwa w uśpieniu mimo tortur, wojen i ludobójstwa, przywódcy polityczni oraz inne wpływowe jednostki, zamiast się godzić na trwanie tego amoralnego koszmaru, mogą doprowadzić do stopniowego przebudzenia siódmego zmysłu. Historia uczy nas, że płynące z góry postawy oraz plany mające na celu pragmatyczne rozwiązywanie kwestii ubóstwa i poczucia zagrożenia, zamiast wskazywać kozła ofiarnego w postaci jakiejś grupy, mogą pomóc nam bardziej realistycznie postrzegać „innych”. Z czasem moralne przywództwo może wiele zmienić. Lecz historia pokazuje również, że pozbawiony siódmego zmysłu przywódca potrafi zahipnotyzować sumienie grupy, doprowadzając do katastrofy. Pragnąc zwiększyć siłę rażenia niszczycielskiej ideologii, odwołuje się do propagandy opartej na strachu. Umie przekonać członków owładniętego przerażeniem społeczeństwa, że postrzegani jako przedmioty „inni” są jedyną przeszkodą uniemożliwiającą nam, a może nawet całej ludzkości, dobre życie, a sam konflikt przedstawia w kategoriach epickiej walki dobra ze złem. Gdy takie poglądy się rozpowszechnią, unicestwienie „innych” bez żalu i wyrzutów sumienia może z mrozącą krew w żyłach łatwością przerodzić się w godną uznania misję.

Ten drugi typ przywódcy z niepokojącą regularnością pojawia się w historii ludzkości, co nasuwa wiele kłopotliwych pytań. Dlaczego pozwalamy historii się powtarzać niczym zdartej płyty, która nie zmusza do myślenia? Dlaczego wciąż pozwalamy przywódcom motywowanym własnym interesem lub wcześniejszymi problemami o podłożu psychicznym przekształcać niezadowolenie i kryzysy polityczne w zbrojne konfrontacje, a nawet wojny? Dlaczego w najgorszych przypadkach pozwalamy ludziom myślącym tak jak Skip rządzić i igrać z ludzkim życiem w walce o dominację? Co się dzieje z naszymi indywidualnymi sumieniami? Dlaczego nie stajemy w obronie tego, co czujemy?

Kto wie czy nie wpadliśmy w stan przypominający trans². To właśnie on pozwala nam wierzyć, że ci, którzy tracą życie, to tylko *przedmioty*. Oczywiście istnieje jeszcze strach, któremu często towarzyszy poczucie bezsilności. Rozglądamy się w tłumie i myślimy: „Zbyt wielu jest przeciwko mnie”, „Nie słyhać, żeby inni protestowali”, lub z jeszcze większą rezygnacją: „Taki po prostu jest świat”, „Taka jest polityka”. Podobne odczucia i opinie mogą znacząco stępić nasz zmysł moralny, ale tam, gdzie wchodzi w grę zablokowanie sumienia przez autorytet, istnieje coś skuteczniejszego i bardziej fundamentalnego niż uprzedmiotowienie „innych”, coś bardziej złowrogiego i przygnębiającego niż poczucie bezsilności, a więc z całą pewnością trudniejszego do przezwyciężenia niż strach. Po prostu jesteśmy zaprogramowani do posłuszeństwa wobec autorytetu *nawet wbrew głosowi własnego sumienia*.

W latach 1961–1962 w New Haven w Connecticut profesor Stanley Milgram z Uniwersytetu Yale zaplanował i sfilmował jeden z najbardziej zdumiewających eksperymentów psychologicznych³. Badacz postanowił zderzyć skłonność człowieka do możliwie najpełniejszej uległości wobec autorytetu z indywidualnym głosem sumienia. Opisując swoją metodę badawczą, stwierdził: „Spośród wszystkich norm moralnych najbliższa powszechnej akceptacji zasada brzmi: nie wolno zadawać cierpienia osobie bezbronnej, która nie wyrządza nam szkody ani nam nie zagraża. Zasada ta będzie stanowić naszą przeciwwagę dla posłuszeństwa”.

Eksperyment Milgrama był wyjątkowo prosty, a jego sfilmowana wersja od czterdziestu lat wzbudza oburzenie humanistów i niczego niepodważających studentów. Do laboratorium psychologicznego przybywa dwóch nieznanymi sobie wcześniej mężczyzn, by wziąć udział w badaniu nad funkcjonowaniem pamięci i procesem opanowywania nowych umiejętności. (Ochotnicy otrzymywali 4 dolary za udział i 50 centów na pokrycie kosztów dojazdu).

W laboratorium eksperymentator (w wersji filmowej sam Stanley Milgram) wyjaśnia obu mężczyznom, że badanie dotyczy „wpływu kar na proces uczenia się”. Jeden z mężczyzn odgrywa rolę ucznia, zostaje wyprowadzony do drugiego pomieszczenia i posadzony na krześle. Wszyscy widzą, jak pomocnik naukowca bezceremonialnie przypina mu ręce pasami do fotela, „by się niepotrzebnie nie wiercił”, a do jego nadgarstków przytwierdza elektrody. „Uczeń” ma za zadanie zapamiętywać pary wyrazów z uprzednio przygotowanej listy (niebieskie pudełko, ładny dzień, dzika kaczka itd.). Za każdym razem, kiedy się pomyli, zostanie porażony prądem elektrycznym, przy czym każdy kolejny błąd jest karany silniejszym wstrząsem.

Druga osoba odgrywa rolę nauczyciela. „Nauczyciel” widzi, jak pomocnik eksperymentatora przypina „ucznia” pasami do krzesła i podłącza elektrody, a następnie sam trafia do innego pomieszczenia i zostaje poproszony o zajęcie miejsca za dużą, złowrogo wyglądającą konsolą zwaną generatorem wstrząsów. Na konsoli znajduje się trzydzieści ułożonych poziomo przycisków odpowiadających poziomom napięcia – od 15 do 450 V w odstępach co 15 V. Oprócz cyfr pod przyciskami umieszczono także opisy, począwszy od informacji: LEKKI WSTRZĄS do groźnie brzmiącego: NIEBEZPIECZEŃSTWO – BARDZO SILNY WSTRZĄS. „Nauczyciel” otrzymuje listę z parami wyrazów. Jego zadanie polega na przetestowaniu znajdującego się w drugim pomieszczeniu „ucznia”. Jeżeli ten udzieli właściwej odpowiedzi – na przykład nauczyciel powie „niebieskie”, a uczeń odpowie „pudełko” – mogą przejść do kolejnej pozycji na liście. Jeżeli jednak uczeń się pomyli, nauczyciel ma obowiązek nacisnąć przycisk i wymierzyć uczniowi karę w postaci wstrząsu elektrycznego. Eksperymentator instruuje nauczyciela, by zaczął od najłagodniejszego wstrząsu i z każdą błędną odpowiedzią zwiększał jego siłę o jeden poziom.

W rzeczywistości „uczeń” znajdujący się w drugim pomieszczeniu jest przeszkolonym współpracownikiem eksperymentatora – aktorem, który nie zostanie poddany żadnym wstrząsom. „Nauczyciel” o tym nie wie, gdyż to właśnie on jest faktycznym obiektem badania.

Po odczytaniu kilku pierwszych par słów z testu głos ucznia – niewidocznego pomocnika Milgrama znajdującego się w innym pomieszczeniu – zaczyna brzmieć żałośnie. Ukarany wstrząsem o napięciu 75 V uczeń cicho jęczy. Po wstrząsie o napięciu 120 V głośno skarży się eksperymentatorowi na odczuwany ból, a przy napięciu 150 V domaga się przerwania eksperymentu. W miarę jak wstrząsy przybierają na sile, protesty ucznia stają się coraz bardziej rozpaczliwe, a przy 285 V słychać rozdzierający krzyk. Eksperymentator – profesor z Yale w białym fartuchu laboratoryjnym – staje za „nauczycielem” siedzącym za konsolą generatora i beznamytnym głosem poleca: „Proszę kontynuować”, „Procedura wymaga, żeby pan kontynuował” lub „Czy się to uczniowi podoba, czy nie, musi pan robić swoje, dopóki nie nauczy się poprawnie wszystkich par wyrazów. Proszę więc nie przerywać”.

Milgram powtórzył to samo doświadczenie czterdzieści razy z czterdziestoma różnymi osobami – ludźmi, którzy „w życiu codziennym zachowywali się odpowiedzialnie i przyzwoicie”, takimi jak nauczyciele szkół średnich, urzędnicy pocztowi, przedstawiciele handlowi, pracownicy fizyczni i inżynierowie. Badani reprezentowali zróżnicowany poziom wykształcenia: jedna osoba nie ukończyła szkoły średniej, natomiast kilka legitymowało się tytułami doktorskimi lub innymi stopniami potwierdzającymi ich kwalifikacje. Eksperyment miał na celu stwierdzenie, jak wiele czasu minie, zanim badani („nauczyciele”) zakwestionują autorytet Milgrama, poddając się jednoznacznej imperatywowi moralnemu. Jak silne elektrowstrząsy zaaplikują krzyżującemu z bólu nieznanemu tylko dlatego, że tak polecił im autorytet?

Przed pokazaniem filmu Milgrama moim studentom proszę ich, by odgadli odpowiedzi na

powyższe pytania. Młodzi adepci psychologii zawsze opowiadają się za zwycięstwem sumienia. Wielu z nich przewiduje nawet, że liczna grupa badanych odstąpi od eksperymentu, gdy tylko dowie się o stosowaniu elektrowstrząsów. Zdaniem studentów spośród reszty badanych wszyscy (z nielicznymi wyjątkami) sprzeciwią się eksperymentatorowi, posyłając go do diabła najpóźniej wtedy, gdy mężczyzna w drugim pokoju zażąda, by go uwolnić (po wstrząsie o napięciu 150 V). Zaledwie garstka bardzo chorych osób ze skłonnościami sadystycznymi nie zawaha się przed zaaplikowaniem „uczniowi” silnych wstrząsów o napięciu nawet 450 V oznaczonych na generatorze napisem ostrzegawczym: NIEBEZPIECZEŃSTWO – BARDZO SILNY WSTRZĄS.

A oto rzeczywiste wyniki eksperymentu: trzydzieści cztery osoby z grupy czterdziestu badanych poddaje przypiętego pasami do fotela mężczyznę elektrowstrząsom nawet wtedy, gdy błaga on o przerwanie badania. Dwadzieścia pięć osób, czyli 62,5 procent całej grupy, w ogóle nie sprzeciwia się eksperymentatorowi i wykorzystuje wszystkie przyciski na skali (aż do 450 V) mimo błagań i krzyków mężczyzny przebywającego w drugim pomieszczeniu. Spoceni „nauczyciele” narzekają, są przygnębieni, lecz nie przerywają doświadczenia. Gdy film się kończy, zerkam na zegarek. Na sali wykładowej pełnej studentów, którzy przed chwilą po raz pierwszy obejrzeni eksperyment, zawsze zapada cisza trwająca przynajmniej pełną minutę.

Milgram wprowadził kilka modyfikacji do wyżej opisanego doświadczenia. W jednej z jego wersji badani nie obsługiwali konsoli z przyciskami aplikującymi uczniom elektrowstrząsy, lecz tylko wypowiadali pary wyrazów. Przyciski generatora wciskała inna osoba. W tej wersji eksperymentu trzydzieści siedem spośród czterdziestu osób (92,5 procent) nie przerwało testu aż do najsilniejszego poziomu elektrowstrząsów wytwarzanych przez „generator”. We wcześniejszych badaniach w rolę nauczycieli wcielali się wyłącznie mężczyźni, więc do kolejnej Milgram zaprosił kobiety, zakładając, że okażą więcej empatii. Uzyskały one niemal identyczne wyniki z jednym zastrzeżeniem: posłuszne kobiety uskarżały się na wyższy poziom stresu niż posłuszni mężczyźni. Badania według scenariusza Milgrama powtórzono na kilku innych uniwersytetach. Wkrótce poddano im ponad tysiąc osób obojga płci pochodzących z różnorodnych środowisk. Rezultaty nie uległy zasadniczej zmianie.

Powtarzalne wyniki badań nad posłuszeństwem zainspirowały Milgrama do wygłoszenia słynnego stwierdzenia, które nie tylko prześladuje, lecz także motywuje osoby zgłębiające naturę człowieka: „Znaczny odsetek ludzi zrobi to, co się im każe, bez względu na istotę czynu i bez ograniczeń narzucanych im przez sumienie, jeżeli uważają, że polecenie wydał im uprawniony autorytet”. Zdaniem naukowca autorytet może uspić sumienie przede wszystkim dlatego, że osoba okazująca posłuszeństwo dokonuje „modyfikacji swojego sposobu myślenia”, to znaczy: *postrzegać siebie jako osobę odpowiedzialną za własne czyny*. We własnym mniemaniu nie musi brać na siebie odpowiedzialności moralnej, lecz staje się narzędziem w rękach zewnętrznego autorytetu, na którego zrzuca całą odpowiedzialność i któremu przypisuje całą inicjatywę. Dzięki tej „modyfikacji sposobu myślenia” dobroczynna władza może znacznie łatwiej zaprowadzić ład i porządek, lecz ten sam mechanizm psychologiczny bardzo często przyczynia się do akceptacji wyrachowanej, złej i socjopatycznej „władzy”.

GDZIE SUMIENIE WYZNACZA GRANICE?

Wpływ autorytetu na głos naszego sumienia zależy od tego, jak postrzegamy jego prawomocność. Jeżeli uznamy osobę wydającą nam polecenia za niższą lub nawet równą nam rangą, wyżej opisana „modyfikacja sposobu myślenia” może nigdy nie wystąpić. W pierwszym badaniu Milgrama jedną

z nielicznych osób, które odmówiły kontynuowania eksperymentu, był trzydziestodwuletni inżynier, gdyż najwyraźniej uznał naukowca w laboratoryjnym fartuchu co najwyżej za równego sobie pod względem intelektualnym. Badany odsunął krzesło od konsoli generatora wstrząsów i wzburzony oświadczył Milgramowi: „Jestem inżynierem elektrykiem i wiem, co to znaczy rażenie prądem (...) Prawdopodobnie już posunąłem się za daleko”. W późniejszej rozmowie, kiedy Milgram zapytał go, kto ponosi winę za aplikowanie wstrząsów mężczyźnie przebywającemu w drugim pomieszczeniu, inżynier nie obciążył eksperymentatora żadną odpowiedzialnością. Stwierdził natomiast: „Przypisałbym winę wyłącznie sobie”. Był wykwalifikowaną, wykształconą osobą i właśnie wykształcenie należy uznać za jeden z czynników decydujących o tym, czy sumienie zachowuje czujność. Lecz stwierdzenie, że stopień naukowy bezpośrednio przekłada się na większy wpływ sumienia na psychikę człowieka, byłoby poważnym nadużyciem. Z drugiej strony posiadana wiedza może niekiedy wpłynąć na postrzeganie prawomocności autorytetu i tym samym ograniczyć ślepe posłuszeństwo. Wykształcenie i kompetencje sprzyjają postrzeganiu samego siebie jako prawomocny autorytet.

W kolejnej ze zmodyfikowanych wersji eksperymentu Milgrama osobą wydającą polecenia „nauczycielom” nie był naukowiec, lecz „zwykły człowiek”. Kiedy przebieg badania nadzorował „zwykły człowiek” zamiast mężczyzny w białym kitlu, poziom posłuszeństwa wśród badanych spadał z 62,5 do 20 procent. Opakowanie i wizerunek to nie wszystko, lecz najwyraźniej w znacznym stopniu wpływają na nasze decyzje. Niektórzy z nas sprzeciwia się osobie *przypominającej z wyglądu* nas samych, lecz większość posłucha kogoś, kto *wygląda* jak autorytet. Ta konkluzja musi niepokoić zwłaszcza dziś, gdy przywódcy i eksperci docierają do nas dzięki magii telewizji. Na ekranie prawie każdy może sprawiać wrażenie szlachetnej i wyrastającej ponad przeciętność jednostki.

Postaci występujące w telewizji nie tylko prezentują się w korzystnym świetle, lecz także stają się nam bliskie i swojskie – wszak goszczą w naszych salonach. Kolejny czynnik wpływający na zdolność autorytetu do tłumienia głosu naszego sumienia stanowi właśnie bliskość osoby wydającej nam polecenia. W kolejnej wersji doświadczenia Milgrama osoba mająca autorytet wychodziła z pomieszczenia, co skutkowało spadkiem posłuszeństwa o dwie trzecie, mniej więcej do poziomu zanotowanego wtedy, gdy przebieg eksperymentu nadzorował „zwykły człowiek”. A gdy w pobliżu nie było autorytetu, badani „oszukiwali”, stosując najłabsze elektrowstrząsy.

Bliskość autorytetu nabiera szczególnej wagi, gdy zachodzi konieczność wyegzekwowania autentycznego posłuszeństwa w czasie walki. Okazuje się, że sumienie wyznacza zaskakująco sztywną granicę w przypadku zabijania – zaskakującą dla wszystkich uważających istoty ludzkie za agresywne z natury. Nakaz sumienia budzi u normalnych ludzi bardzo silny opór przed zabijaniem, dlatego psychologowie wojskowi muszą szukać sposobów przewyciężenia go. Eksperci od spraw militarnych wiedzą już, co robić, by skłonić żołnierzy do zabijania z choćby minimalną skutecznością: rozkazy muszą pochodzić od obecnych na polu walki osób mających autorytet. W przeciwnym razie walczący będą „oszukiwać”, umyślnie źle celować lub w ogóle nie oddadzą strzału, by uniknąć naruszenia najwyższego nakazu sumienia.

Podczas drugiej wojny światowej generał brygady S.L.A. Marshall⁴ najpierw dokumentował działania wojenne na Pacyfiku, a następnie został mianowany oficjalnym historykiem europejskiego teatru działań wojennych. W swoich pracach wspomina on o intrygującej zależności: prawie wszyscy żołnierze podporządkowywali się rozkazom dowódców, u których boku walczyli, i prowadzili ogień, lecz gdy tylko dowódcy się oddalali, intensywność ostrzału natychmiast spadała do poziomu 15–20 procent. Marshall uznał, że ogromna ulga dostrzegalna u żołnierzy z oddziałów, które nie otrzymały bezpośredniego rozkazu otwarcia ognia, „była

spowodowana nie tyle świadomością, że znajdują się na bezpieczniejszym odcinku frontu, ile błogosławioną wiedzą, że przez pewien czas *nie zmuszano ich do odbierania nikomu życia*”.

Były żołnierz rangersów (elitarnej formacji piechoty amerykańskiej) i spadochroniarz, podpułkownik Dave Grossman analizuje w swojej książce *Men against Fire* (O zabijaniu)⁵ spostrzeżenia Marshalla, badania FBI dotyczące statystyki nieużywania broni przez funkcjonariuszy organów ścigania w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku, a także dane na temat odmowy użycia broni podczas wielu wojen, między innymi amerykańskiej wojny secesyjnej, pierwszej i drugiej wojny światowej, wojny wietnamskiej oraz wojny falklandzkiej. Zauważa on, że „na przestrzeni dziejów zdecydowana większość walczących w godzinie próby, gdy mogli i powinni zabić wroga, okazywała się »obdzektorami«”. Po zapoznaniu się z obszernymi historycznymi materiałami dowodowymi świadczącymi o tym, że żołnierze piechoty często unikają okazji do zabijania i potajemnie je sabotują, Grossman dochodzi do „odkrywczej i pokrzepiającej konkluzji: mimo nieprzerwanej tradycji przemocy i wojen człowiek ze swej natury nie jest zabójcą”. Przewycięzenie najbardziej podstawowego nakazu sumienia, sprawienie, by zwykły człowiek zabił innego obcego człowieka, zadając mu cios bagnetem lub pociągając za spust, wymaga gruntownego przeszkolenia i psychologicznego warunkowania, a także obecności dowódcy na polu walki.

Przydaje się również moralne wykluczenie mające przypominać żołnierzom, że oddziały wroga to tylko *przedmioty*: szwabry, skośnoocy lub żółtki. Peter Watson, autor książki *War on the Mind...* (Wypowiadając wojnę umysłowi...) podkreśla rolę „wyśmiewania głupich miejscowych zwyczajów” i przedstawiania „lokalnych bohaterów jako nikczemnych półbogów”.

Należy uzmysłowić żołnierzom na polu bitwy i zwykłym, pozostającym w domach obywatelom, że tocząca się walka stanowi ważną część świętej wojny dobra ze złem. Właśnie takie przesłanie starali się wpoić poddanym rządzący po wszystkich stronach konfliktu podczas każdej większej wojny w dziejach ludzkości. Na przykład dziś pamiętamy raczej wyłącznie eksplozję moralnego oburzenia pod koniec wojny w Wietnamie, lecz na początku konfliktu wielokrotnie zapewniano Amerykanów, że oni i tylko oni są w stanie ocalić Wietnamczyków przed zniewoleniem i torturami. W mowach wygłaszanych podczas wojny, transmitowanych i trafiających wprost do naszych salonów, przywódcy naszego kraju zawsze eksponowali bezwzględność konieczności zrealizowania zaplanowanej misji, odwołując się do wyższych pobudek usprawiedliwiających zabijanie. Paradoksalnie autorytet może łatwiej narzucić innym własną interpretację rzeczywistości z tej prostej przyczyny, że sumienie hołubi wyższe pobudki i poczucie przynależności do prawomyślnej grupy. Innymi słowy, głos wewnętrzny można oszukać, a gdy w grę wchodzi zabijanie obcych, tego rodzaju oszustwo zazwyczaj bywa konieczne.

Przygnębienie budzą dwa fakty: po pierwsze, psychologia może dostarczyć wojsku technik pozwalających na przemianę ludzi stroniących od zabijania w morderców; po drugie, wojsko nie waha się korzystać z tych technik. Za złymi wieściami kryje się jednak promyk nadziei, lśniący niczym diament w otchłani mroku. Nie zostaliśmy stworzeni jako maszyny do zabijania, choć czasami tak się nam wydawało. Nawet w rozpaczliwej sytuacji pod wpływem stresu na polu walki niejednokrotnie umyślnie powstrzymywaliśmy się od prowadzenia ognia lub strzelaliśmy niecelnie. Kiedy głosu naszego sumienia nie tłumił krzyk autorytetu, zawsze dawało znać o sobie poczucie więzi międzyludzkich przypominające nam, że nie wolno zabijać.

Istota wojny sprowadza się do zabijania, dlatego podczas konfliktów zbrojnych toczy się rozstrzygające starcie między sumieniem a autorytetem. Siódmy zmysł zabrania nam odbierać życie, więc kiedy autorytetowi udaje się zdominować sumienie – zmusić żołnierza do zabijania – bezpośrednio po wypełnieniu rozkazu i przez resztę życia podkomendnemu najprawdopodobniej

będą dokuczały zespół stresu pourazowego, zwiększona podatność na depresję, nałogi, chorobę wrzodową i choroby serca towarzyszące traumatycznym wspomnieniom, nie wspominając o groźbie rozwodu. Badania przeprowadzone z udziałem weteranów wojny w Wietnamie⁷ dowiodły, że u żołnierzy niezmuszanych do zabijania objawy zespołu stresu pourazowego występowały z porównywalną częstością jak u poborowych niepowołanych do aktywnej służby.

Paraliżująca rywalizacja między naszym zmysłem moralnym a uznawanymi przez nas autorytetami toczy się niemal nieprzerwanie, odkąd istoty ludzkie zaczęły żyć w społeczeństwach hierarchicznych. Przez ostatnich pięć tysięcy lat królowie, żądni ziemi arystokraci, głowy państw lub narodów nakazywali słabszym przyłączać się do walki i zabijać. Wszystko wskazuje na to, że tego konfliktu nie uda się rozstrzygnąć za życia naszych dzieci ani wnuków.

POSŁUSZEŃSTWO – SUMIENIE 6 : 4

Stanley Milgram, który udowodnił, że przynajmniej sześć na dziesięć osób ma skłonność do podporządkowania się odpowiednio wyglądającej, stojącej za ich plecami osobie do samego końca, zwrócił też uwagę na negatywne psychologiczne następstwa sprzeciwu wobec autorytetu. Osoba okazująca nieposłuszeństwo odnosi wrażenie, że sprzeciwia się porządkowi społecznemu, niekiedy może mieć również trudności z pozbyciem się przeświadczenia o złamaniu przyrzeczenia lojalności. Posłuszeństwo jest wyrazem bierności, więc tylko nieposłuszni muszą – cytując słowa Milgrama – nieść „brzemie swoich czynów”. Jeżeli odwaga oznacza postępowanie zgodne z głosem sumienia mimo bólu lub strachu, wówczas hart ducha wypadłoby zdefiniować jako umiejętność utrzymywania czujności i wrażliwości sumienia pomimo sprzecznych z jego nakazami żądań autorytetu.

Hart ducha odgrywa w tym kontekście istotną rolę, ponieważ stosując się do rozmaitych nakazów sumienia, musimy stawiać czoło licznym przeciwnościom.

Dla zilustrowania opisywanej prawidłowości wyobraźmy sobie całkowicie reprezentatywne statystycznie społeczeństwo liczące stu obywateli. Oznacza to, że w mojej hipotetycznej społeczności cztery osoby to pozbawieni sumienia socjopaci. Spośród pozostałych dziewięćdziesięciu sześciu przyzwoitych, obdarzonych sumieniem osób, 62,5 procent w takim czy w innym stopniu podporządkuje się autorytetowi – niewykluczone, że tym autorytetem będzie jeden z bardziej agresywnych i żądnych władzy socjopatów. Pozostaje więc trzydzieści sześć osób mających sumienie oraz hart ducha umożliwiające im dźwiganie brzemienia własnych czynów, co stanowi nieco ponad jedną trzecią grupy. Nie stoją oni na z góry przegranej pozycji, lecz wcale nie będzie im łatwo.

Osoby związane nakazami sumienia stoją w obliczu jeszcze jednego wyzwania. Chociaż brzmi to dość dziwnie, większość socjopatów pozostaje niewidzialna. Przeanalizujmy teraz to zagadnienie na niezwykle przykładowym przykładzie Doreen Littlefield.

